



ANANDA DEVI

Wzgórza*

Spomiędzy stron starej książki stojącej wysoko na półce wpatruje się we mnie wytrzeszczone oko. Zanim je jeszcze dojrzałam, poczułam na szyi jego muskającą mi skórę obecność. Realizm tego narysowanego oka jest tak wielki, że ogarnia mnie trwoga. Odgaduję w nim milczącą zachętę. Co symbolizuje to oko, które pojawiło się nagle na skraju mojego pola widzenia? Jakie dziwne oskarżenie?

Nie badam książki, aby je zrozumieć. Nie otwieram jej. Zapadam się w strach.

Jak dawno temu, w moich dziecięcych koszmarach, nie mogę się oprzeć wyobrażeniu, że ktoś się tam zapada, że jakiś potwór mroku chwycił go za kostkę u nogi i wciąga w zagadkę książki, że już prawie całkiem znikł – z wyjątkiem tego pływającego jeszcze po powierzchni oka – i że próbuje uzyskać ode mnie pomoc, na którą z pewnością jest już zbyt późno. Gdybym mogła zanurzyć dłoń w tych szarych kartkach, przedrzeć się przez ich skrzypiącą materialność, ryzykując tysiąc przecięć na skórze palców, i pochwycić dłoń należącą do ciała spojrzenia, pociągnąć ją do góry, aby wydobyć stamtąd lepką, śliską, być może krwawiącą całą istotę, byt pokryty ślimakami słów, szatą słów, obierzynami słów, ciało gęste i konkretne, stworzone, aby je pieścić i rozbierać, lizać po to, aby z powrotem wchłonięto litery i znaki, i zdania, stworzone, aby z powrotem stało się nagie i puste, w oczekiwaniu aż wypełni je inna opowieść, która nie byłaby ani jego, ani moja.

Inna opowieść nosząca w sobie tysiąc innych, ciężarna bogini sposobiąca się do urodzenia tego, co niemożliwe.

Czyż nie jest piękna ta nasza bogini literatura?

Jej oko czuwa, rozstrzeliwując nas, jeśli nie jesteśmy posłuszni jej nakazowi, jeśli nie podrygujemy w precyzyjnym rytmie jej muzyki, jeśli nasze palce nie biegają szybciej, niż pomyślimy, po klawiaturze, jeszcze szybciej, szybciej niż światło, szybciej niż myśl, i staje się prawdziwą diablicą, aby pożreć naszą wiarę

* Przekład opowiadania na język polski za zgodą autorki na podstawie udostępnionego przez nią maszynopisu.

i uratować od powolnej śmierci owoce naszego żywota. Nie pozwolić im się rozpuścić w nicości i zniknąć w zapomnieniu ani stronom wyschnąć z upływem czasu i rozpaść się pod kłami czasu, wydanym na unicestwienie przez obojętność.

Oko z książki nakazuje mi działać. Nie powinnam ulegać pokusie lenistwa, rozrywki, iść na łatwiznę, nie mogę pozwolić, aby moja chaotyczna natura pogardliwą dłonią zmasała pracę całego życia. Oko powiada mi, bym bała się samej siebie. Jestem entropijna. Moje książki usiłują uporządkować tę myśl niedającą się kontrolować, niekontrolowaną, która grozi, że ucieknie, gdy tylko spróbuję ją zatrzymać jak nieposłuszne zwierzę.

Bądź jeszcze twardsza, mówi mi to spojrzenie niemrugającego oka. Nie wybaczej sobie żadnej słabości, swoich wagarujących myśli, swojego tańca uników. Będę chłostało twoje plecy, abys wspinała się stromym zboczem mojego milczenia. Nie próbuj uciec przed swoją ciernistą panią.

Oko mojej szatańskiej bogini nieruchomieje. Wybałusza się, aby tym bardziej mnie zafascynować. Wczepia się w moją skórę, w moje ościeże. Mówi mi: podążaj za mną.

Zatem chwyciłam tę starą książkę o łamliwych kartkach i szarej okładce, na której nie było żadnego tytułu, i z której stron cały czas wyzierało to otwarte oko. Nie było narysowane, co właśnie spostrzegłam, nie dałoby się uzyskać tak ogromnego realizmu: twardówka była mazista i błyszcząca, prążkowana czerwonymi naczyńiami, tęczówka czernią przezroczystą jak szkło, źrenica dziurą bez dna, nie, to było prawdziwe oko, podobne do tego, które podążało za Kainem. Było całkiem realne i zdałam sobie sprawę, że wewnątrz niego ziała pustka, która oczekiwała tylko na mnie, aby się wypełnić. Ale wypełnić czym?

Podążaj za mną, powiedziało jeszcze raz oko. I stara, popękana karta rozdarła się, abym mogła wejść za moim przewodnikiem w mrok. Nie możesz się już, powiedziało oko, zadowolić byle czym. Pismo musi stać się mieczem, aby rozciąć ciemności.

Co powiedzieć o tej podróży? Nie będę mówić o zgrozie, to słowo zbyt rozwodnione. Nie powiem o tragedii – to słowo nie oddaje rzeczywistości. Intuicyjnie powiedziałam oku, że tutaj słowa są zbyt liczne, niemożliwe, wyciśnięte ze swoich soków i że pisarz nie ma tu do odegrania żadnej roli. Że inni bez wątpienia lepiej potrafiliby to wysłowić – lecz oko popatrzyło na mnie z bezwzględną ironią i zamilkłam. Wiedziałam o tym, że nie mogę teraz opuścić ramion, na to było za późno, albo musiałabym wszystko porzucić i nigdy już nie napisać ani słowa, co byłoby równoznaczne z moją śmiercią.

Zatem zmrożona, chwiejąca się, przerażona podążyłam drogą zapowiadanych śmierci, drogą morderstw i wbijania na pal, drogą płwocin i ekskrementów, drogą ludzkich niegodziwości i podłości, drogą ruiny duszy, drogą, którą kroczy się bez ustanku, jasno postrzegając klęskę religii (które nigdy nie nauczyły nas

szacunku dla naszych bliźnich), drogą, w której jak w zbyt wiernym lustrze odbija się nikczemna twarz naszego rodzaju, drogą, którą podążamy wszyscy w naszym wspólnym letargu, drogą, którą poręcza nasza obojętność, ponieważ służy zamaskowaniu prawdziwej twarzy potworów.

Ta droga prowadziła przez to, co – jak mi się zdawało – było wzgórzami o niewyraźnych konturach, o wyblakłych barwach, w krajobrazie metalu i siarki.

Gdy się jednak zbliżyłam, ujrzałam, że pierwsze z tych wzgórz było usypane z dziecięcych bucików.

Dziesiątków tysięcy dziecięcych bucików.

Poczerniałych z upływu czasu, ze zużytych od częstego biegania zelówkami, wystrzępionych od spojrzeń, które bezustannie je omiatały, nie będąc w stanie ich zrozumieć

bucików

wszystkich rozmiarów, dla każdego przedziału wiekowego, większość grzecznie połączona w pary (ale brakowało paru prawych, paru lewych), największe wyprodukowano dla dzieci wkraczających w nastoletniość, tańczących na delikatnej linii młodzieńczości, najmniejsze – niemowlęce buciki, prawie zbyt małe, aby były prawdziwe. Być może zrobione szydełkiem przez oczekujące na swoje maleństwa przyszłe mamy, utkane rozmarzonymi uśmiechami rozciągającymi ich wargi zaokrąglone przez tę obrzmiałość miłości, jakimi są brzuchy matek. I lądujące tutaj, na nasypy wzgórza, aby zaświadczać.

Zatrzymałam się przed tymi bucikami. Posłyszałam jedwabiste szelesty, stukanie podeszew, kauczukowe syczenia. Wydawało mi się, że słyszę śmiechy. Potem krzyki.

Wszystko zmazał czarny dym.

Odwrociłam się w stronę oka. Tego nie mogę napisać. Dziecięce buciki... Jakim prawem mogłabym?

To dobre pytanie, odparło mi oko. Ale przecież ci, którzy sprawili, że te buciki leżą tu porzucone, nie zadawali sobie żadnych pytań. Byli absolutnie przekonani, że mieli do tego prawo. Nie przeszła ich żadna wątpliwość, żadna ludzka emocja, żadne zawahanie. Ta niewzruszoność pozwoliła im dojść do kresu swojego przekonania. Co mogłabyś temu przeciwstawić?

Zresztą co masz na myśli, kiedy twierdzisz, że nie możesz tego powiedzieć? Nie potrafisz czy odpuszczasz? Więc już się poddałaś?

Nie powiedzieć to odmówić mówienia. Wszystko da się powiedzieć. Wszystko musi być powiedziane. Zbrodnie i cuda, potworności i dary. Obowiązkiem tego, który pisze, jest, jak mi się wydaje, mówić.

Spójrz więc na te malutkie buciki. Są jedynym śladem, który pozostał po tych dzieciach. Te dziecięce buciki, te najmniejsze, które wydają się nadawać bardziej na lalkę niż na żywe dziecko, należały do niemowlęcia o imieniu Rebeka.

Urodziła się w wagonie, mówią buciki, w chwili przybycia. Matka nie miała miejsca, ani żeby się położyć, ani żeby się skulić. Urodziła na stojąco pomiędzy setkami ciał stłoczonych w błocie i w odchodach. Jakaś kobieta wyciągnęła ręce, aby odebrać dziecko. Aby nie pozwolić mu upaść na wyziewy nieczystości (nie wiedząc, że na dziecko czekały inne wyziewy). Matka nic dla niego nie miała poza swoim ciałem i piersiami. A przecież uśmiechnęła się, przytulając je do siebie. My, buciki, należymy do innego niemowlęcia. Kobieta, która trzymała nas w kieszeni zaszytej pod swoją spódnicą, dotykała nas regularnie jak talizman. Ta, dla której byliśmy przeznaczone, nie przeżyła, ale my ocalałyśmy. Więc wyciągnęła dłoń, a na niej byliśmy my, dwa malutkie, błękitne cudeńka, misternie wyrobione na szydełku jak koronka z chmurki. Kobieta, która przyjęła dziecko na swoje ręce, wzięła nas i nałożyła na miniaturowe stópki. Matka mocno przytulała niemowlę do siebie, zastanawiając się, czy odważy się obnażyć piersi, aby je nakarmić. Potem zrozumiała, że tutaj nie obowiązywał żaden wstyd. Dotarli do miejsca, w którym wstyd zostawili daleko za sobą. Wściekłym gestem rozerwała górę swojej sukni, uwalniając piersi już nabrzmiałe, prążkowane niebieskimi żyłkami, a niemowlę, jakby zrozumiałwszy, że tutaj nie ma czasu na przystosowanie się, zaczęło mocno ssać, uwalniając obfity pokarm, tak niezwykle dla tego miejsca i czasu. Matka, szczęśliwa pomimo grozy sytuacji, wyszeptwała, przynajmniej będziesz miała buciki, Rebeko.

Rebeka nie pożyła długo. Ze swoją matką znalazła się w kolejce tych, których kierowano na śmierć. Nas jednak zdjęto, zanim wsadzili ją do pieca. Tutaj gromadzili wszystko. Tym sposobem przeżyłyśmy, my, delikatna i błękitna wełniana koronka.

Skuliłam się przed górą dziecięcych bucików. Zachowują ślady swoich zabaw. Slizgania się na nich. Biegania w nich. Swoich obietnic.

Mówią, że dzieciństwo nie chroni przed potworami.

A oto chłopięcy sabot.

Jestem z drewna, a on był z ciała, mówi sabot. To był żywy chłopak, gotowy do wszelkich przygód, ryzykownych zabaw. Moje drewno wydało się cenniejsze tym, którzy wrzucili chłopca do dołu, gdzie, zanim umarł, przykryli go martwi. Zachowałem jego ostatnie tchnienie, jego ostatnią myśl: ci, co trzymali karabiny, nie mieli już twarzy. Ale przecież byli ludźmi.

A oto bucik małej dziewczynki:

Była tanecznica, ta mała, odkąd tylko nauczyła się chodzić. Zawsze chodziła na puentach, ciekawska i głodna odkrywania świata. Przygodą było dla niej wszystko, co znajdowało się poza jej zasięgiem. Mogła mnie wymienić na buciki baleriny, ale nie miała na to czasu. Byłem jej wdziękiem i jej bezczelnością. Szła

na puentach nawet wtedy, gdy ją prowadzili, a matka chciała, żeby z powrotem znalazła się w jej brzuchu.

Następnie wszystkie buciki zaczęły mówić naraz, a ich przerażający chór wibrował we mnie, grożąc, że rozpęknę się na tysięczne kawałki. Upadłam na kolana, mając nadzieję, że zostanę uwolniona od tej podróży, której nie chciałam przedsięwziąć, przed którą chciałam teraz uciec, choćby to sprawiło, że stanę twarzą w twarz ze swoim tchórzostwem. Tak, jestem tchórzem, powiedziałabym sobie, przystaję na to, jeśli pozwoli mi to odwrócić moje myśli od potworności! (Ale chyba już mówiłam, że to słowo było niewystarczające?)

Jednakże oko powiedziało mi, chodź za mną, i podążyłam za nim jak zdrajca, jak złodziej, uciekając przed wyrzutami dzieci, wszystkich dzieci, również moich. Przede wszystkim moich, które mówiły mi: co zrobiłaś?

Zza wzgórze bucików wynurzyło się kolejne, o zmiennych barwach i ruchomych konturach. Podobne było do morza oleju z ociężałe przelewającymi się falami. Moje nogi nie chciały dalej iść, lecz przymusiło mnie oko. Idź, dalej, jeszcze dalej, nie możesz się już zatrzymać na tak dobrej drodze, rzekło. Nie miałam w sobie wystarczająco dużo siły, aby kontynuować, lecz zostałam do tego zmuszona.

Zmuszona jak na drodze usianej rozżarzonymi węglami, na której od moich nagich stóp odrywała się skóra, chociaż nie czułam bólu, wiedząc przecież, że był tam i czekał na swoją godzinę.

Zmuszona, ponieważ nic z tego, co mogłam czuć, nie dało się porównać z tymi wzgórzami, pomiędzy którymi prowadziła moja droga.

Gdy podeszłam bliżej, ujrzałam, że drugie usypane było z kobiecych włosów.

Leżały rzucone jedno na drugie, jak buciki, ale mniej wyraźnie się między sobą różniły. Wydawało się, że ich odcienie i struktura, i długość roztapiają się jedno w drugich, splatając się w litanię przerwanej kobiecości.

Warkocze z gumką albo z podtrzymującą je na końcu spinką. Metrowej długości końskie ogony. Niedające się ujarzmić kręcone masy. Koki. I niekończące się kosmyki. Wszystko w niewyobrażalnej różnorodności kolorów, czy to możliwe, aby w prawdziwym życiu istniało tyle barw, tyle odcieni, tyle połyskliwości, ależ tak, istniały, ponieważ były tutaj, gdzie kłamstwo nie istnieje.

Chciałam wyciągnąć rękę, żeby je poczuć pod palcami, pogłaskać. Doświadczyć ich delikatności i ich szorstkości. A może nawet, może nawet dotknąć tych, do których należały, odgadnąć je, ofiarować im ostatnie pocieszenie. Jednakże oko mi na to nie pozwoliło. Nie masz prawa do ich życia, powiedziało. Tylko do ich cienia i ich głosu.

Włosy na zawsze zachowają zapach gazu i krzyki, zapach ostatniego jęku. Obcięte włosy są ostatnią zniewagą, ostatecznym okaleczeniem. Nie wystarczało

zabić. Trzeba było jeszcze odrzeć ze wszystkiego, co zachowywało wspomnienie życia, aby doskonalszym uczynić ich zniknięcie i wymazanie. A gdyby historia nie postanowiła inaczej, po nich nastąpiłoby zapomnienie. I chociaż włosy w dalszym ciągu dają świadectwo, są tylko nierozróżnialną masą. Zatem naucz się ich imion, aby je poznać.

W każdym kosmyku błyszczała jakaś obecność, jakaś nieobecność. Każdy miał głos przytłumiony upływem czasu, gęstością ciszy. Nie miałam prawa do ich życia, lecz mimo wszystko wypełniły mnie wodą pamięci.

I tak do mnie przemówiły:

Należałem do Sary. Była tak dumna z długości swoich włosów, że kiedyś je zmierzyła. Dokładnie metr. Rude, gęste, lśniące. Jednak pewnego dnia usłyszała, jak matka, która chciała ją wydać za mąż, mówi, że „to jedyne, co w niej piękne”. Wówczas znenawidziła swoje włosy. Lecz nie ścięła ich. Dzisiaj by tego może żałowała, gdyż po latach pozostało po niej tylko „to jedyne, co w niej piękne”. Nic innego. Warkocz bez twarzy, anonimowy, który z wolna traci swoją barwę i w końcu wtopi się w inne, również tracące swój kolor i swoje światło. I nikt nie dowie się, kim były, że istniały. Zostać w ten sposób wymazaną z egzystencji, ze świata, z wszechświata bez ani jednej isierki, która by po niej została – nie tak chciała odejść.

Jesteśmy włosami Salome, odzywa się inny kosmyk. Takimi samymi, jakie miały jej matka i babka. Kobiety z rodziny rozpoznawano po czarnych włosach, po mocno skręconych kędziorach. Wszystkie skarżyły się, że tak trudno je rozczesać. Wszyscy mężczyźni lubili przesuwac po nich wzrokiem, potem dłońmi. Jej babka i matka miały szczęście odejść na długo przed nią z powodu raka piersi. Sądziła, że ją również spotka taki los. To była jej największa obawa. Gdy dopadnie ją choroba, wypadną jej włosy. Tak się jednak nie stało. Lodowate dłonie wyrwały je, obcinając zardzewiałą maszynką, która już dawno przestała być ostra. Każdy kosmyk odchodził od ciała z przyklejoną na jego końcu kroplą krwi. Zupełnie jakby się szorowało gąbką, chichotał głupawo mężczyzna, który je obcinał. Oto, co z niej pozostanie: gąbka do szorowania.

Byłyśmy już białe, kiedy tu przyjechała, wyszeptaly włosy Debory. Przywykła do objawów szacunku właściwych jej wiekowi. Tutaj, u kresu tej podróży do krainy mroku, od razu sklasyfikowano ją jako odpad. Do kolejki po lewej stronie, pomiędzy tych, którzy nie ujrzą następnego poranka. Jej włosy były jej jedyną wartością: szybko je zabrali.

Reszta to wychudzone, pomarszczone ciało, które od tak dawna ukrywała przed spojrzzeniami, nie było nawet warte tego, aby je okryć łachmanami. W przeciwieństwie do innych zrozumiała, że umrze, i z ulgą zaakceptowała śmierć. Wszystko zostało już powiedziane. Wszystko zostało już dokonane. Patrzyła na

swoje włosy w dłoniach kobiety, która obcięła je przy samej skórze, i pomyślała sobie, że nie musi żałować, iż tylko to po niej zostanie. Czy chciałaby przeżyć w takim świecie? W takim świecie koniec był darem. Nie chciała już niczego zobaczyć. I w ten sposób stałyśmy się jedynymi świadkami, blaknącymi w świetle, aż upodobniliśmy się do włosów duchów.

Wzgórze pulsowało tchnieniem wszystkich tych włosów. Podniósł się wiatr, grożąc, że uniesie je w dal. Śpiew cieni rozproszył się, lecz włosy oddychały jeszcze, wijąc się jak macki.

Nie jestem w stanie dalej mówić. Jeszcze krok i na zawsze zapadnę się w popioły, moje otwarte usta będą wdychać ich truciznę, moje otwarte dłonie wczepią się w pustkę. Z takiej podróży nie da się powrócić. Prowadzisz mnie ku mojemu odludnionemu kresowi, ku rozpaczycy tych odcieleśnionych głosów, ku milionom istnień nieustających w swoim poszukiwaniu wieczności. Ta otchłań, raz otwarta, nie przestanie niszczyć świata.

Lecz oko, przewodnik potępionej, którą byłam, pociągnęło mnie jeszcze dalej.

Za wzgórzem włosów wznosiło się jeszcze inne, tym razem białe-żółto-szare. Jego powierzchnia była nierówna, jakby w każdej chwili wzgórze mogło się zapisać. Wydawało się, że jest zrobione z mikroskopijnych, kanciastych kamyczków. Niewielkie osypiska naznaczały stoki. Zionął z nich sfermentowany odór, jakby wychodzący z brzucha ziemi. Wokół unosiło się tchnienie siarki i niegodziwości. Nie sposób było oddychać.

U stóp wzgórza poczułam pod stopami kilka tych kamyczków i osunęłam się na kolana. Moja dłoń zamknęła się na jednym z nich. Przyjrzałam mu się i zobaczyłam, że to nie kamyczek. Był to ludzki ząb.

Na mojej dłoni pozostawił ślad ugryzienia.

Nie ustawaj, odezwało się oko. I poszłam dalej, deptając po milionach, miliardach zębów, moje stopy zagłębiały się w nich po kostki, ugryzienia raniły mi skórę, jakby na moim ciele zamykały się szeroko otwarte usta.

Po niedługim czasie nie byłam już w stanie utrzymać się na nogach. Upadłam na kolana. Jakby jakiś nauczyciel z dawno minionych lat zmusił uczennicę, aby uklękła za karę na kamieniach.

Moje ręce zagłębiły się aż po łokcie. Owionął mnie odór fermentacji. Wokół mnie otwierały się usta. Działka były bezzębne. Zęby powyrywano szczypcami. Z otworów po zębach wydobywały się przyprawy, wszystkie pokarmy, które zostały w nich rozdrobnione, wokół mnie rozprzestrzeniała się litania posiłków, kobiety pochylone nad swoimi garnkami, dzieci stojące na czubkach palców, żeby lepiej zobaczyć, siedzący mężczyźni, suwerenni, z rozstawionymi nogami, oczekujący na swoje mięsne danie, potem zredukowani do nicości przez silniejszych od siebie. Marsz władzy kroczył dalej.

Ale wyrywacze zębów! Nie, to nie należało do porządku rzeczy.

Łupieżcy zębów i włosów, i bucików należeli do porządku nieznanego.

Nie było w tym nic ludzkiego, obcość najbardziej rozpasanych wyobraźni nie miała z tym nic wspólnego, zanim się tego nie zobaczyło, nie było się w stanie tego sobie wyobrazić.

Łupieżcy zębów i włosów, i bucików to było coś, czego świat nie miał nigdy zamiaru stworzyć.

Łupieżcy zębów i włosów, i bucików byli owocem zdeprawowanej historii, rodzaju, który odwrócił się od swojej natury, łaski definitywnie porzuconej i zdeptanej.

Nic ludzkiego, już nic z człowieka, lecz coś jakby ucieleśniona groźba, która nabrała konsystencji z woli ludzi.

Dotknęłam każdego zęba i każdy opowiedział mi swoją historię. Jak opowiedzieć milion historii? Nie sposób, powiecie mi. A przecież wystarczy ich posłuchać.

Moja dłoń szukała papieru i pióra, lecz nie były niezbędne. Historia nie potrzebuje zapisu, lecz pamięci.

Wspięłam się więc na wzgórze zębów, które stało się górą. Ich oddechy spłodziły czarny wiatr, który przeszył mnie na wylot. Nic nie było warte przeżycia, jeśli musieliśmy żyć z tą prawdą: łupieżcy działali w dalszym ciągu, tu i teraz, w świecie, w którym żyłam.

Łupieżcy istnieją, szydęrczo chichoczą, plując swoim jadem; jednym słowem unicestwiają kontynent, jednym podpisem dekretują koniec żywych istot; powodują koniec kamieni i wieków, i naszego ludzkiego stanu; wciskają głowę w nasze skorupki, aby nie pozwolić nam mówić, krzyczeć, buntować się.

Łupieżcy są tutaj, wokół nas, tuż obok, a my znów dajemy im wolną rękę, co kiedyś pozwoliło im już zabierać buciki i włosy, i zęby, co sprawiło, że na tysiącu wzgórz wyrosły góry czaszek i wyroki śmierci, i kneblowanie sumień, i ściana zamiast atramentem zapisana krwią w obozach żółtej rzeki, i karabiny maszynowe odpowiadające na kamienie rzucane na biblijnej ziemi.

Łupieżcy są tu, oni, których hasłem są *mury*, gdyż tak właśnie – przez konstrukcję murów – zaczyna się destrukcja.

Pamiętajcie o tym, krzyczą do mnie buciki i włosy, i zęby, i czaszki, i krew – wszystko zaczęło się od muru!

Wszystko zaczęło się od muru.

Ale mur wzniesli ludzie.

Pamiętajcie, o, ludzied!, mówi mi oko, że wszystko jest waszym czynem i waszą wolą.

Nawet pięści skrwawione na murze. Wolicie być pięścią czy murem? To ważne pytanie. To odpowiadając na nie, wybieracie. Pomiędzy akceptacją a insurekcją.

Oto pytanie, które się wam postawi. Co wówczas odpowiecie?

Nie ma półśrodków.

Większość woli zaakceptować, aby się bronić. Tyle, że na końcu nie ma żadnej skutecznej obrony.

Oto, czego się nauczyli ci, do których należą zęby. Zgięli karki, ale po co? Żeby umrzeć później? Lepiej było umrzeć wcześniej.

Zataczając się, poszłam naprzód. A tam wyrosło przede mną ostatnie wzgórze. Było ułożone z czaszek. Oko mówiło o tysiącu wzgórz. Wiedziałam, co mnie tu czekało. Każda czaszka opowie mi historię zwyczajnego morderstwa. Rodziny przeciwko rodzinom. Sąsiedzi przeciwko sąsiadom. Bracia przeciwko braciom. Matki przeciwko dzieciom. Żadnej granicy. Tysiąc wzgórz szyderczo spoglądało na unicestwienie człowieka.

Czaszki patrzyły swoimi pustymi oczodołami. Każda otrzymała cios maczetą albo została spalona. Niektóre w kościele, gdzie się schroniły. Wszystkie były świadkami tego, co może człowiek.

Otworzyły usta z błyszczącymi zębami (nie wyrwano im ich), aby ujawnić światu, co im uczyniono. I oskarżyć mnie o to, że nie zrobiłam nic. I mówić o ciszy, która przeciwstawiła się ich krzykowi. I o rękach obciętych w łokciach albo w ramieniu, *długi czy krótki kikut, wybieraj!*, i o zmasakrowanych dzieciach, *starszego czy młodszą, wybieraj!*, i o nadzianych na pal kobietach, *zabijasz ją czy ją tniemy na kawałki, wybieraj!*, i tak dalej, i tak dalej, litania niemożliwych wyborów.

A ty, co byś zrobiła? Pyta mnie oko.

W tej chwili, pomiędzy czaszkami, obserwowana przez puste orbity, miałam ochotę tylko na jedno: zniknąć.

Ale nie miałam do tego prawa. W moich dłoniach był ołówek.

W mojej głowie strony do zapisania.

Tłumaczenie Krzysztof Jarosz